

Władysław Terlecki

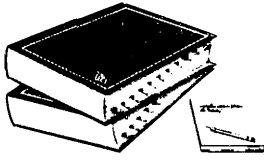
Brulion

Palestra 38/11(443), 85-86

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Władysława TERLECKIEGO BRULION

Sporo się ich jeszcze zachowało. Stare mroczne budynki sądowe z przełomu wieku. Tu rozgrywał się przed laty sądowy spektakl, którego aktorzy nie zawsze zdawali sobie sprawę z pewnej teatralizacji misji, jaką przyszło im wykonać. Codziennosc ostatecznie zaciera wśród tych aktorów rozmiar dramatu, w którym uczestniczą.

Dziś korytarze są puste. Archiwa zniszczone w kolejnych pożogach albo przeryte przez myszy i mole. W wypadku głośnych politycznych lub kryminalnych procesów można mówić o pamięci utrwalonej w rozmaitych zapisach. Są to najczęściej wspomnienia głównych uczestników słynnych procesów albo relacje drukowane w gazetach, czy choćby rysunki z sali sądowej. A także szczątki taśm celuloidowych, jak w przypadku pierwszej kroniki filmowej nakręconej w Polsce podczas procesu ojca Bazylego, toczącego się przed sądem w Piotrkowie. Odważnego fotografa, który przemycił wtedy do budynku sporych przecież rozmiarów aparat filmowy ze statywem, woźni sądowi i policja szybko wyprowadzili z sali. Z tym też większą ciekawością można się dziś przyglądać na ekranie rozedrganym postaciom za stołem sędziowskim, fragmentom ławy oskarżonych.

Ale oczywiście codzienny dramat sprawiedliwości toczy się poza wielkimi sprawami, w których występują luminaarze i wielkie gwiazdy europejskiej palety. Szarość dnia codziennego jest więc najstosowniejszym tłem. Sprawy z pozoru przynajmniej błahe, nie poruszające ciekawości opinii publicznej, przeciętni

zatem sędziowie, oskarżyciele i obrońcy, oto właściwa skała problemu. Ich cieni trudno dziś szukać w korytarzach starych gmachów sprawiedliwości. A warto o nich pamiętać.

Kim więc byli urzędnicy wymiaru sprawiedliwości w czasach poprzedzających odzyskanie wolności? Jaki mieli status społeczny polscy sędziowie, oskarżyciele i obrońcy z czasów zaborów? Łatwiej oczywiście mówić o tych ostatnich, którzy występowali w obronie sądzonych, ale Polakami czuli się także orzekający w różnych sprawach sędziowie i prokuratorzy. Służba w zaborczym aparacie sprawiedliwości nie przez wszystkich była traktowana jako nagan-na kolaboracja. Ludzie ci służyli obowiązującemu prawu. Jeśli nie byli przekupni i jeżeli nie ulegali naciskom, wykonywali swoją powinność zgodnie z nakazami sumienia, a w tym liczyła się przecież także służba swojemu narodowi. Nie wszyscy szli na pasku carskiej łaskawości. Nie wszyscy rusyfikowali się i nie wszyscy będąc obywatelami austrowęgierskiej monarchii tracili poczucie polskiej tożsamości. Może warto pamiętać, że wielu z nich odbudowywało później polski wymiar sprawiedliwości, wykorzystując wiedzę i doświadczenie nabyte w codziennej sądowej praktyce. Nie trzeba zbyt wielkiej wyobraźni, aby uświadomić sobie rozmiary odpowiedzialności, jaką na siebie przyjmowali. Jak więc miał, na przykład, orzekać w procesie, w którym oskarżano Polaka o udział w zamachu terrorystycznym, polski sędzia? W zgodzie ze swoim sumieniem i w zgodzie z obowiązującym

prawem. Jeśli przedmiotem takiej rozprawy było, na przykład, morderstwo dokonane z przyczyn politycznych, sprawa nabierała wymiaru nie tylko kryminalnego. Reguły kodeksowe nie mogły budzić wątpliwości, jeśli wina została w czasie procesu udowodniona. W sumieniu należało także rozważać kwestie dotyczące intencji. Ale dziś podobnej ocenie podlegają także intencje tych, którzy wówczas skazywali.

Jak więc stosować odruch obronny? Może żaden naprawdę szanujący się Polak nie powinien uczestniczyć w zaborczych dramatach sądowych? To wizja bardzo nęcąca, ale też całkiem nierealna. Wyobraźmy sobie wyrok, jaki w majestacie obowiązującego wtedy prawa orzeka polski sędzia w procesie polskiego terrorysty – wtedy zresztą, pamiętajmy, w niektórych patriotycznych kręgach określenie to nie posiadało bynajmniej pejoratywnego znaczenia – i wyobraźmy sobie dalej, że inny, tym razem kapturowy sąd, składający się z wyznawców tej samej idei co skazany przez zaborczy wymiar sprawiedliwości bojo-

wnik, wydaje swój własny, oparty na zupełnie innych normach wyrok skazujący Polaka sędziego. Stare sale sądowe bywały przecież świadkami podobnych dramatów. Cmentarze kryją ich bohaterów. Pamięć o tych spektaklach sprawiedliwości staje się coraz bardziej mglista.

Ale czy aby rzeczywiście? Historia będzie kiedyś oceniać dzisiejszych aktorów tej sceny. Jakimi kierować się będzie motywami? To, co dziś uważamy za przyzwoite normy kodeksowe, z biegiem czasu okaże się anachronicznym zapisem. Inne będą wymogi codzienności i odmienne oczekiwania. Myślę, że ludzie, którzy kiedyś przesuwali się po korytarzach starych sądowych gmachów, mieli tę samą świadomość. Czy zawsze we własnym sumieniu odnajdywali spokój i rozgrzeszenie? Może wcale nie pragnęliby publicznie udzielać odpowiedzi na tak formułowane pytania.

Ciekawe, co też kiedyś sędzić będą o nas przyszli widzowie kronik filmowych, słuchacze nagrań radiowych i czytelnicy prasy? W codziennym zabieganiu warto o nich myśleć.